

Senat nadal domaga się zwolnienia z podatków firm ze Wschodu



Senatorowie nie zamierzają rezygnować z przedstawionego niedługo po wybuchu wojny projektu, przewidującego zwolnienie z podatków firm należących do Białorusinów i Ukraińców. Przeciwno podobnym przywilejom opowiadają się tymczasem Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców, uznając je za naruszenie zasady uczciwej konkurencji.

Jeszcze w kwietniu do Senatu wniesiony przez lewicowo-liberalną opozycję został kontrowersyjny projekt zmian w prawie podatkowym. Przewidywał on zwolnienie z podatku PIT oraz CIT, a także z szeregu innych danin, wszystkich obywateli Białorusi i Ukrainy, którzy przybyli do Polski już po wybuchu wojny w swoim kraju.

Głównym obrońcą proponowanych zmian jest opozycyjny senator Krzysztof Kwiatkowski, były minister sprawiedliwości i prezes Najwyższej Izby Kontroli. Przyznaje on, że przepisy wymagają jeszcze dopracowania, tym niemniej domaga się ich uchwalenia. Twierdzi bowiem, że znalazły się wśród nich rozwiązania korzystne także dla polskich firm.

Odmienne zdanie na ten temat ma jednak Adam Abramowicz, Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców. W wysłanym niedawno liście do premiera Mateusza Morawieckiego apeluje on, aby nie przyjmować przepisów prowadzących do uprzywilejowania

obcokrajowców. Może to bowiem wzbudzać do nich niechęć oraz naruszać zasady uczciwej konkurencji.

Dodatkowo Abramowicz zwraca uwagę na problem z nielegalnym podejmowaniem działalności gospodarczej przez Ukraińców. Mają pojawiać się więc doniesienia, że tworzą oni nieuczciwą konkurencję wobec polskich przedsiębiorców działających zgodnie z prawem.

Przeciwko pomysłowi Senatu jest także Polsko-Ukraińska Izba Gospodarcza. Jej wiceprezes Dariusz Szymczyk w rozmowie z Money.pl twierdzi, że podobne propozycje idą zbyt daleko, a pomoc dla uchodźców nie powinna prowadzić do różnicowania ludzi i tym samym do konfliktów narodowościowych.

NKWD, UPA i Wołyń



Polskie ośrodki ukrainofilskie starają się co pewien czas podejmować próby „zdjęcia” odpowiedzialności z zagładę ludności polskiej na Wołyniu z UPA na NKWD.

I tym razem, w atmosferze wojny na Ukrainie i wzburzenia opinii publicznej – taki głos się pojawiał, i to ze strony nie byle kogo. Jak informuje jedna ze stron internetowych: „Maciej Świrski, prezes Reduty Dobrego Imienia i przewodniczący Rady Nadzorczej PAP twierdzi, że za ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej odpowiedzialni mogą być sowieci. Naturalną konsekwencją takiej tezy byłoby

zniesienie albo przynajmniej umniejszenie odpowiedzialności Ukraińców za wybitnie bestialskie zbrodnie nawet jak na warunki II wojny światowej”.

„Są poszlaki o inspiracji NKWD. Jesteśmy na tropie tego, ale za wcześniej mówić o szczegółach” – napisał Maciej Świrski na „Twitterze”. Wpis szybko zniknął, ale nie uszedł uwadze internautów i nabrał rozgłosu. Czym jest Reduta Dobrego Imienia? To organizacją powołana do „walki z kłamstwami historycznymi nt. Polski”. Znana jest głównie z podejmowania interwencji ws. nazywania niemieckich obozów koncentracyjnych na terenie okupowanej Polski „polskimi”. Cele zbożne, ale jak się okazało nie zawsze.

Komorowski i Macierewicz

Jak już wspomniałem, taka teza pojawia się u nas dosyć regularnie co jakiś czas. Po 1989 roku najgłośniejsze były trzy głosy w tej kwestii. W wywiadzie dla dziennika „Rzeczpospolita” (24.07.2008), zatytułowanym **„Za Wołyń odpowiadają Sowietci”,** Bronisław Komorowski, wówczas marszałek Sejmu RP, powiedział: „Próba przeniesienia odpowiedzialności za nieszczęścia polskich Kresów z Sowietów na Ukraińców skłania mnie do zastanowienia, czy nie mamy do czynienia z długimi rękoma Rosji”.

Z kolei w roku obchodów 70. rocznicy ludobójstwa na Wołyniu prominentny działacz Związku Ukraińców w Polsce **Mirosław Czech** opublikował artykuł po wymownym tytule **„Jak Moskwa rozpętała piekło na Wołyniu”** („Gazeta Świąteczna”, 9-10 marca 2013), twierdząc: „Sowieci poszczuli Niemców na ukraińskich policjantów, w ich miejsce przyszli Polacy. Spirala mordów się nakręciła. Rosyjscy agenci działali według precyzyjnie ułożonego planu”. Wreszcie **Antoni Macierewicz**. W programie „Minęła dwudziesta” w TVP Info (12.07.2016) powiedział: **„Prawdziwym wrogiem, który rozpoczął, i który użył ukraińskich sił nacjonalistycznych do tej straszliwej zbrodni ludobójstwa jest Rosja. To tam jest źródło tego**

straszliwego nieszczęścia”.

Historycy sceptyczni

Czy teoria o „sowieckiej prowokacji” znajduje jakiegokolwiek potwierdzenie w dokumentach? Nie znajduje. W Polsce najbliższy akceptacji tej tezy wydaje się być współcześnie **Grzegorz Mazur**, który pisze: „Dogłębnego wyjaśnienia wymaga sprawa inspirowania przez Sowietów oddziałów UPA do wystąpień przeciwko Polakom. Według niektórych przekazów na czele tych oddziałów stali oficerowie sowieccy. W jednym z pierwszych opracowań dziejów polskiego podziemia odnotowano, że »w rejonie Złoczowa i Stanisławowa zanotowano wypadki, że bandami ukraińskimi mordującymi dowodzili oficerowie sowieccy«. O współpracy OUN-B z NKWD jest też mowa w raporcie hitlerowskiej policji i Służby Bezpieczeństwa (SD) z 22 maja 1942 r., ale pamiętać trzeba, że raporty wszelkich służb specjalnych, zarówno niemieckich, jak i sowieckich, zawierają wiele nieprawdziwych i niesprawdzonych informacji”.

Bynajmniej nie wrogo nastawiony do tradycji upowskiej, historyk – **Grzegorz Motyka** – tezę tę zdecydowanie odrzuca. W jednym z wywiadów, na pytanie „Czy rzeź wołyńska mogła być sprowokowana przez służby sowieckie?”, odpowiedział: „Nic na to nie wskazuje. Oczywiście bez Niemców i Sowietów do zbrodni by nie doszło, bo oni stworzyli do niej warunki i dali przykład. **Sowieci nie mieli jednak interesu w wywołaniu takiej rzezi.** Być może sowiecka prowokacja przyczyniła się do dezercji ukraińskiej policji, ale to co najwyżej przyspieszyło działania banderowców. Na III konferencji OUN-B (frakcja związana ze **Stepanem Bandera**) w lutym 1943 r. i tak zapadła decyzja o rozpoczęciu walki z Niemcami, a to oznaczało przystąpienie do antypolskich czystek, bo taki plan przyjęto już pod koniec 1942 r. Kiedyś istniała teoria, że masakry zapoczątkowali Sowieci, którzy w przebraniu upowców wymordowali polską wioskę. Ale już pierwszą wioskę Paroślę wymordowali banderowcy i wszędzie, gdzie udało się zidentyfikować sprawców, należeli oni do OUN-B”.

Z czego wynikały kontakty strony sowieckiej z OUN?

W końcu 1942 i na początku 1943 roku Moskwa nie wiedziała jeszcze dokładnie w jakim kierunku pójdzie OUN Bandery. Wiedziano, że organizacja ta, w przeciwieństwie do OUN Melnyka, nie traktuje Niemców jako sojuszników „po wsze czasy”. Podjęcie kontaktów ze strukturami OUN Bandery było o tyle ułatwione, że bardzo często w roli emisariuszy po stronie sowieckiej wcielali się Ukraińcy, nieraz znajomi tych, którzy przeszli do UPA. **W tym czasie dla strony sowieckiej nadal głównym celem było skłonienie kogo się da do współpracy i walki z Niemcami.** Józef Sobiesiak „Maks” podaje, że do rozmów na tematy polityczne doszło na początku marca 1943 roku w okolicach Łucka. Oficjalnie delegacja ukraińska reprezentowała Ukraińską Główną Radę Wyzwoleńczą. Podczas spotkania jej przedstawiciele stwierdzili, że ich głównym zadaniem jest budowa Samostijnej Ukrainy i likwidacja Polaków. **Ostrzegli stronę sowiecką, żeby nie kierowała swoich oddziałów na tereny Ukrainy Zachodniej.**

Informacje Sobiesiaka są wiarygodne i zostały potwierdzone przez historyków i materiał archiwalny. Odniósł się do nich Mirosław Czech pisząc: „Kontakty z podziemiem ukraińskim zainicjował ppłk. Anton Brińskij, „Diadia Pietia’”, dowódca jednego z oddziałów dywersyjnych GRU – sowieckiego wywiadu wojskowego. Nie był chyba jeden, lecz odtajniono jedynie jego relację, w której opisywał, że OUN-B zorientowana jest na USA, bo w jej przekonaniu Niemcy wojnę przegrają, Sowietci zostaną rozbici, Anglia straci swoje znaczenie. Wobec wojny sowiecko-niemieckiej OUN-B zachowuje neutralność, bijąc się z Niemcami, ale nie podejmując „działań aktywnych, nie zważając na to, że Niemcy ich prześladują i palą ich wieś”.

Brińskij miał zgodę Moskwy na kontakt z OUN Bandery. Jego sukcesem – jak twierdzą niektórzy historycy – było zaprzestanie ataków policji ukraińskiej na oddziały partyzantki sowieckiej i jej ucieczka do lasu. **Jednak już w końcu lutego Moskwa zakazała kontaktów z OUN Bandery.** Być może

więc Sobiesiak podał błędną datę spotkania pod Łuckiem. Mogło się ono odbyć w lutym a nie w marcu 1943 roku.

Epizod ten stał się po latach przedmiotem spekulacji ośrodków starających się zdjąć z OUN Bandery odpowiedzialność za zbrodnię ludobójstwa na Polakach. Nie znajduje to jednak potwierdzenia w materiale źródłowym. Co ciekawe, podczas spotkania delegacji polskiego i ukraińskiego podziemia w dniu 28 lutego 1944 roku, podjęto temat ewentualnego udziału strony sowieckiej w mordach na Polakach. Przedstawiciel strony polskiej powiedział: „Nie wiemy, kto tym kieruje, wiemy jednak, kto może mieć interes w osłabieniu polskiego elementu na tych ziemiach. Interes mogą mieć przede wszystkim bolszewicy, lecz dotąd nie stwierdzono ich działań w tym kierunku”. Także przedstawiciel strony ukraińskiej z OUN powiedział, że „zgadza się z poglądem o interesie, jaki mogą mieć bolszewicy w mordowaniu Polaków”, jednak i oni **„nie stwierdzili ich akcji w tym kierunku, poza sporadycznymi wypadkami działania band sowieckich na Wołyniu pod przykrywką UPA”**.

Sowieci i Polacy

Rozwój sytuacji na Wołyniu wymusił na stronie sowieckiej jeszcze bardziej przychylne stanowisko w stosunku do Polaków tam zamieszkujących niż to wcześniej zakładano. Okazało się bowiem, że oparciem dla partyzantki jest tylko część ludności ukraińskiej, reszta sprzyjała banderowcom i była oparciem dla coraz liczniejszych formacji UPA. Jak pisze **Oksana Petruszewicz**: „W kwietniu 1943 r. specjalna dyrektywa KC WKP(b) i CSRP nakazała dowódcom radzieckich zgrupowań partyzanckich okazywanie Polakom wszelkiej pomocy przy organizacji oddziałów i wyposażaniu ich w broń i amunicję. W ten sposób rozpoczęto formowanie proradzieckiego polskiego ruchu partyzanckiego oraz przekształcanie niewielkich oddziałów, złożonych z Polaków, w samodzielne polskie zgrupowanie „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Rozwój sytuacji sprawił, że Polacy zamieszkujący Wołyń stali

się oparciem dla partyzantki sowieckiej, z drugiej zaś strony, partyzantka ta w wielu miejscach była jedyną siłą broniącą polskich wsi przed zagładą ze strony UPA. **Co najmniej 7 polskich samoobron, w tym największa z nich w Przebrażu zawdzięcza swoje przetrwanie partyzantom sowieckim (w tym oficerowi NKWD Iwanowi Prokopiukowi – Ukraińcowi z Odessy).** Ten fakt od wielu lat jest ością gardle polskich antykomunistów i wielbicieli sojuszu polsko-ukraińskiego. Jednak nawet historycy niechętni ZSRR przyznają, że na Wołyniu partyzanci sowieccy stanęli po polskiej stronie i ocalili wiele tysięcy Polaków. **Dodajmy, że ponad 60 proc. partyzantów sowieckich to byli Ukraińcy ze wschodu.**



Faktu tego nie chciały jednak uznać władze Polskiego Państwa Podziemnego. Po prostu, nie mieściło się im to w głowie. I to właśnie z tych kręgów pochodzą pierwsze spekulacje na temat udziału strony sowieckiej w rozniecaniu polsko-ukraińskiego konfliktu na Kresach. **Współpraca samoobron polskich z partyzantką sowiecką odbywała się wbrew oficjalnym dyrektywom Delegatury Rządu RP i dowództwa Armii Krajowej.** Od samego początku służby informacyjne Komendy Głównej AK oskarżały partyzantkę sowiecką o inspirowanie i prowokowanie konfliktu

polsko-ukraińskiego na Wołyniu.

Fałszywa ocena Warszawy

W „**Biuletynie Informacyjnym**” (20 maja 1943, nr 20), pisano: „Rola banderowskiego odłamu OUN w tych tragicznych zjściach nie jest mocno udowodniona. **Wiele faktów wskazuje natomiast na to, że właściwymi inspiratorami haniebnego pogromu, w czasie którego wymordowano setki rodzin polskich byli agenci sowieccy.** W chwili sporu o Ziemie Wschodnie Moskwa za wszelką cenę dąży do wywołania konfliktu ukraińskiego na tle zadrażnień narodowościowych, aby mieć argument, że ukraińska ludność kresowa nie życzy sobie powrotu państwa polskiego na te ziemie. Ta sama Moskwa jednocześnie dla zatarcia śladów kazała wystąpić swym własnym »dywersantom« przeciwko bandom ukraińskim spod znaku »Tarasa Bulby«. Cele tej podwójnej gry są aż nadto jasne. Oto za jednym zamachem wyniszcza się żywioł polski na kresach i kompromituje wobec świata nacjonalistów ukraińskich”.

Podobne oceny były zawarte w **Sprawozdaniu Delegata Rządu na Województwo Wołyńskie Kazimierza Banacha**, reprezentującego Stronnictwo Ludowe: „Bolszewicy mają swoje jaczekki wśród społeczeństwa ukraińskiego i wśród band. Usiłują opanować kierownictwo bandami, a już i obecnie wiele band jest pod ich komendą. Stwarzają pozory, że ludność polską chcą brać w obronę. Wszędzie jednak tam, gdzie ludność zmuszona była z ich opieki korzystać, zmierzają tylko do tego, by z młodzieży polskiej stworzyć komunistyczne oddziały partyzanckie. Jeden z takich oddziałów jest już zorganizowany i przybrał nazwę oddziału im. Tadeusza Kościuszki. W kilku wypadkach stwierdzono, że wśród atakujących ludność polską byli i bolszewicy, którzy przedtem ludności polskiej proponowali pomoc. Wydaje się być prawie pewnym udział inspiracji sowieckiej w akcji mordowania ludności polskiej. Pojawiły się również na Wołyniu liczne oddziały partyzantki sowieckiej. Oddziały te żadnej akcji zaczepnej w stosunku do Niemców nie prowadzą. Wygląda na to, że jest to gromadzenie sił dla akcji

w przyszłości. Oddziały te zaopatrywane są z powietrza w broń, amunicję, ludzi, materiały instrukcyjne i propagandowe. Wołyń traktują jako ziemię sowiecką. W tej chwili stanowią one już poważną siłę” Cyt za: M. Siwicki, „Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich”, t. II, Warszawa 1992, ss. 136-137).

Ta ocena, odbiegająca od rzeczywistej sytuacji na Wołyniu, owocowała popełnianiem dalszych błędów i zaniechań. Komenda Główna AK zlekceważyła informacje o zagrożeniu ludności polskiej na Wołyniu przez nacjonalistów ukraińskich, które napływały do Warszawy jeszcze w 1942 roku. Pomimo stanowiska Delegata Rządu na Wołyniu Kazimierza Banacha, który domagał się uzbrojenia oddziałów AK i skierowania ich do obrony ludności polskiej na Wołyniu – dowództwo w Warszawie odmówiło. **Płk Jan Rzepecki „Prezes” z KG AK argumentował, że „udostępnienie broni na Kresach roznieciłoby ogień walki do niewyobrażalnych rozmiarów, a opinia światowa uzyskałaby argument, że walka o wschodnią granicę była błędem politycznym”.** Stąd, w decydującym momencie, na Wołyniu praktycznie nie było większych oddziałów AK, wszystkie przygotowania koncentrowały się wokół Akcji „Burza”, która miała pokazać nadchodzącej Armii Czerwonej i władzom w Moskwie, że tereny wschodnie są nadal polskie. Tragizm sytuacji polegał na tym, że w przypadku Wołynia jedynym co można było zrobić, to uratować życie dziesiątków tysięcy ludzi.

Chociaż stanowisko Kazimierza Banacha było bardziej realistyczne, to w praktyce też nie był on w stanie niczego zrobić. Łudził się, że należy prowadzić rozmowy z nacjonalistami ukraińskimi, apelować do nich, by w imię jedności państwa (polskie władze podtrzymywały iluzję istnienia RP na tych terenach, traktując Ukraińców, także nacjonalistów, jako obywateli tego państwa) zaprzestali rzezi. Jednocześnie wydał on, w chwili największego natężenia terroru UPA, w dniu 28 lipca 1943 roku, odezwę do „Obywateli Rzeczypospolitej”. Apelował o przeciwstawienie się rzezi i

wzywał do tworzenia samoobrony. Jednocześnie zakazywał wstępowań do policji w służbie niemieckiej oraz dodawał: „Współdziałanie z bolszewikami jest takim samym przestępstwem, jak współdziałanie z Niemcami”.



Ta groźba odnosiła się do w dużej mierze do tych Polaków, którzy wstępowali w szeregi partyzantki sowieckiej, ale ogólny wydźwięk tego dokumentu jest przygnębiający. W czasie, kiedy dziesiątki tysięcy Polaków, pozbawianych oparcia struktur podziemnych Państwa Polskiego, walczyło o życie, Delegat Okręgowy Rządu zakazuje współpracy z siłą, która jest dla wielu polskich wsi jedynym sojusznikiem.

Wracając jeszcze do kwestii błędnej oceny dokonanej przez władze cywilne i wojskowe Polskiego Państwa Podziemnego, należy dodać, że miały one jedynie mgliste wyobrażenie o tym, co się dzieje. Jak pisze **Władysław Filar**: „Uważano, że napływające informacje o rzeziach są przesadzone, nie wierzono, że w XX wieku może powtórzyć się scenariusz z okresu buntów i powstań kozackich i chłopskich”. **Powagę sytuacji dostrzegały tylko struktury podziemne działające na Kresach, choć także z pewnym**

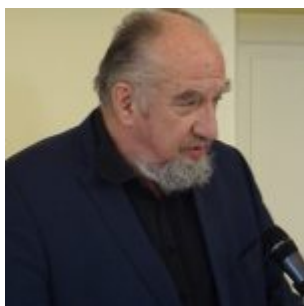
opóźnieniem. Raport Obszaru Lwowskiego AK w sprawie mordów wołyńskich zawiera smutny wniosek, że „ludność polska czuje się opuszczona przez czynniki rządowe”. Stwierdzano też, że polskie czynniki rządowe zrzucają winę za to, co się stało na Wołyniu **„na wszystkich, z wyjątkiem oczywistych głównych sprawców: nacjonalistów ukraińskich z OUN na czele”** (W. Filar, „Wydarzenia wołyńskie 1943-1944...”, s. 253).

Próba przerzucenia odpowiedzialności za Wołyń na Rosję (ZSRR) miała i ma wymiar czysto polityczny, celem którego jest „zdjęcie” odium z naszego „strategicznego sojusznika”. Mamy więc do czynienia z próbą zastosowania tzw. polityki historycznej do manipulowania prawdą, nie pierwszy raz zresztą. Na razie z marnym rezultatem, choć należy się liczyć z kolejnymi próbami. Co w tej sprawie jest najbardziej tragiczne? To, że taki proceder uprawia z reguły strona polska, a nie ukraińska. Poza głosem Mirosława Czecha, nikt inny z Ukraińców tego nie podnosi. Dlaczego? **Z prostego powodu – gdyby to przyjąć, wówczas UPA na Wołyniu należałoby uznać za „sowiecką agenturę”, pionka na stalinowskiej szachownicy. A to uderzyłoby w mit UPA jako całkowicie niezależnej ukraińskiej organizacji walczącej o „samostijną” Ukrainę.**

Tego, jak się zdaje, „przyjaciele” Ukrainy nie biorą pod uwagę. Strona ukraińska ma zupełnie inną „linię obrony”. Na Wołyniu miała miejsca wojna polsko-ukraińska sprowokowana przez Polaków. Ukraińcy tylko się bronili, a poza tym Polacy współpracowali z Sowietami i Niemcami. W wersji bardziej light mówi się, że po prostu „sytuacja wymknęła się spod kontroli” i ukraińskie chłopstwo dokonało zemsty na Polakach, UPA nie miała z tym nic wspólnego.

Biorąc to pod uwagę, wysiłki naszych „przyjaciół Ukrainy” w rodzaju pana Świrskiego i innych są przez Ukraińców źle widziane. Świadczy to tylko o głupocie autorów tego typu przedsięwzięć mających obiektywnie rzecz biorąc antypolski charakter.

Cenzura w „liberalnej demokracji”



Mimo że już faktycznie wprowadzono w naszym kraju cenzurę, bo każdy, nawet tylko sceptyczny pogląd różniący się nieco od oficjalnych objawień na temat wszystkiego co rosyjskie, jest już piętnowany jako „prokremlowska propaganda”, pozwolę sobie na garść refleksji o naszych relacjach z Rosją.

Jestem już przedmiotem tego rodzaju ataków, więc poznałem empirycznie („na własnej skórze”) działanie nowych cenzorów. Wyjaśnił mi ich rolę w liście „dziennikarz śledczy” (tak się przedstawia), publikujący w „Gazecie Polskiej”, który m.in. zainteresował się moimi poglądami przedstawionymi w książce pt. „Polska-Rosja: reset na stulecie Traktatu Ryskiego” twierdząc, że jacyś „eksperci polski i NATO” orzekają, które poglądy są „propagandą kremlowską”, a on – jak się domyślam – wykonuje ich polecenia. Czyli tak obecnie nazywa się cenzura. Akurat w moim przypadku atak cenzury miał prawdopodobnie dość prozaiczny powód: od lat staram się ujawnić a przede wszystkim krytykuję patologie polskich przepisów podatkowych, a lobbyści, którzy korzystają z tych luk, mają długie ręce (prawdopodobnie idzie tu o niskie opodatkowanie akcyzą tzw. podgrzewaczy).

Dopóki więc nie zostanę skutecznie uciszony, postaram się jednak przypominać pewien fakt z przeszłości, który ma się nijak do obowiązującej w naszym kraju propagandy i zapewne zdaniem „ekspertów z polski i z NATO” popełniam „myśłozbrodnie”, która musi być przykładnie ukarana. Otóż dość dawno, w ostatnich dziesięcioleciach XVI wieku, polscy i litewscy politycy chcieli doprowadzić do powstania unii personalnej a także realnej między Koroną, Wielkim Księstwem Litewskim a Wielkim Księstwem Moskiewskim. Panowie litewscy proponowali, aby Królem Polskim i Wielkim Księciem Litewskim został Fiodor Iwanowicz, car moskiewski, będący synem Iwana Groźnego. Później, po jego śmierci, wielkie poselstwo Litwy (około 1000 osób), które udało się do Moskwy pod przewodnictwem **Lwa Sapieha** będącego Wielkim Kanclerzem Litewskim, proponowało, aby władzę nad tymi połączonymi trzema państwami objął w perspektywie Fiodor Borysowicz, syn rządzącego w Moskwie cara **Borysa Godunowa**. Chciano powtórzyć udany eksperyment unijny między Koroną a Litwą i objąć nim państwo moskiewskie. Zakładano integrację ekonomiczną, otwarty przepływ ludności, mieszane małżeństwa i tolerancję religijną.

Skąd ta idea? Otóż wiedzieli oni, że wzajemna wrogość będzie dla nas zabójcza, a okrutne wojny, które wciąż prowadziliśmy, nas wyniszczą, osłabią a może doprowadzą do upadku. Bardzo dobrze rozumieli, że nie możemy stać się „państwem frontowym” i antyrosyjskim, bo jest to dla nas droga do katastrofy.

Co szczególnie ważne, rozumieli oni dobrze polskie interesy, bo pierwszym obowiązkiem klasy politycznej jest zapewnienie pokoju, mimo że nie byliśmy stroną słabszą, a wojny z Moskwą w istotnej części udawało się nam wygrywać.

Przede wszystkim mieliśmy wtedy zdolność do sformułowania oryginalnej doktryny politycznej, byliśmy państwem suwerennym, które dba o własne interesy.

Jak jest dziś – widzimy to aż nadto dobrze. Ekonomicznie już przegrywamy wojnę ukraińsko-rosyjską: mamy wysoką, wciąż

wzrastającą inflację spadek popytu na wielu rynkach, a proponowanym przez ekspertów sposobem na drożyznę jest powszechne zubożenie: gdy utracimy większość naszych dochodów, konsumenci i przedsiębiorcy przestaną kupować towary i usługi w wyniku tego na rynkach światowych spadną ceny ropy i gazu, a ten ostatni dostarczany przez Rosję Niemcom będziemy importować z Zachodu, co będzie najlepszym koronnym dowodem naszej niezależności energetycznej. Oczywiście mamy jednym głosem wspierać tę politykę, bo taka rola wyznaczyło nam „światowe przywództwo”, które będzie prowadzić tę wojnę aż do końca, czyli do ostatniego żołnierza, który będzie chciał umierać za samoistną Ukrainę.

Czy jeszcze w jakimkolwiek stopniu jesteście kontynuatorami szesnastowiecznej tradycji politycznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Po co pytać. Wszyscy wiedzą. Brak gorliwych, niedługo być może będzie czynem zabronionym, w dodatku z mocą wsteczną, więc być może trzeba będzie zamilknąć. Do wszystkich wyznawców obowiązującej poprawności mam tylko jedno przesłanie: będąc liderem wrogości wobec Rosji budujecie wizję naszego bezpieczeństwa na przekonaniu, że „światowe przywództwo” stanie w naszej obronie bez względu na wszystko. To już nie naiwność. To jest historyczny błąd, za który mogą zapłacić miliony Polaków.

[Prof. Witold Modzelewski](#)

Mord w Owczarni

78 lat temu, 4 maja 1944 roku oddział Armii Ludowej pod dowództwem Bolesława Kaźmiraka (Kowalskiego) ps. „Cień”, dokonał we wsi Owczarnia koło Opoła Lubelskiego podstępного mordu na blisko dwudziestu żołnierzach AK z oddziału

dowodzonego przez por. Krycha. Przez kilkadziesiąt lat zakłamywano historię, uważając „Cienia” za bohatera. Nawet specjalna komisja profesorów UMCS uznała w latach 1950. że to AK było agresorem wobec AL. Kiedy powstawał reportaż żyli jeszcze ostatni dwaj uczestnicy wydarzeń z Owczarni oraz dzieci pomordowanych (jeden z nich od lat szukał zaginionego w tajemniczych okolicznościach ciała ojca). Reportaż powstał w 2010 r.

Kołczasty drut polskiej cenzury



Od dłuższego czasu (co najmniej od 26 lutego) portal „Myśli Polskiej” dostępny jest wyłącznie przy zastosowaniu VPN lub innych, sugerowanych przez informatyków obejść. Utrudnienia w dostępie do niego związane są z uruchomieniem mechanizmów cenzury, choć na temat prawno-formalnych aspektów podejmowanych przeciwko wolności słowa w Polsce działań wiemy niewiele. Dowiadujemy się tymczasem, że na liście cenzurowanych w Internecie mediów pojawiają się nowe tytuły, w tym ostatnio serwis wRealu24.

Prawo bezprawia

Wiele lat temu, w [ustawie](#) Prawo telekomunikacyjne z 16 lipca 2004 roku, choć Internet nie był wówczas tak istotnym środkiem przekazu jak dziś, pojawiła się już możliwość arbitralnej cenzury. Art. 180 ust. 1 wspomnianej ustawy stanowi od tamtego czasu, że *„Przedsiębiorca telekomunikacyjny jest obowiązany do niezwłocznego blokowania połączeń telekomunikacyjnych lub przekazów informacji, na żądanie uprawnionych podmiotów, jeżeli połączenia te mogą zagrażać obronności, bezpieczeństwu państwa oraz bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu, albo do umożliwienia dokonania takiej blokady przez te podmioty”*. Wydaje się, że intencja tego zapisu była nieco odmienna od jego cenzorskiego wymiaru, stosowanego obecnie. Furtka została jednak otwarta.

Podmioty uprawnione do zażądania wprowadzenia blokady niektórych stron internetowych od dostawców Internetu to, według ustawy, Policja, Biuro Nadzoru Wewnętrzznego, Straż Graniczna, Służba Ochrony Państwa, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Żandarmeria Wojskowa, Centralne Biuro Antykorupcyjne i Krajowa Administracja Skarbowa (art. 179 Prawa telekomunikacyjnego). Praktyka funkcjonowania państwa polskiego wskazuje, że najpewniej w przypadku obecnych działań cenzorskich takim podmiotem jest безпеka z siedzibą przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie.

To właśnie ta instytucja ma również w ręku inne instrumenty cenzorskie, przede wszystkim wynikające z aktualnego brzmienia art. 32c ust. 1 [ustawy](#) o Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Agencji Wywiadu. Z kolei ono wynika z [ustawy](#) z 10 czerwca 2016 roku o działaniach antyterrorystycznych. Przypomnijmy, że jej projekt został przegłosowany kilka miesięcy po przejęciu władzy przez Prawo i Sprawiedliwość w 2015 roku, przy wsparciu **Pawła Kukiza** i jego ówczesnych przybocznych.

Jak czytamy we wspomnianym artykule ustawy, szef ABW złożyć może, kontrasygnowany uprzednio przez Prokuratora Generalnego, wniosek o zablokowanie dostępu do stron internetowych, które, jego zdaniem, mają „*związek ze zdarzeniem o charakterze terrorystycznym lub określonych usług teleinformatycznych służących lub wykorzystywanych do spowodowania zdarzenia o charakterze terrorystycznym*”. Sformułowania nader mgliste, zaś w świetle uznawania przez niektóre organy nawet przedstawicielstw dyplomatycznych niektórych krajów za podmioty związane z terroryzmem, dowolność ich interpretacji zależy wyłącznie od widzimisię, antypatii, sympatii oraz politycznych zleceń naczelnika bezpieczeństwa. O kolejnych przedłużeniach blokowania stron internetowych decydować ma w składzie jednoosobowym, na posiedzeniu niejawnym Sąd Okręgowy w Warszawie. I tu pojawiają się co najmniej trzy elementy wskazujące na zagrożenie fikcyjnością owej kontroli sądowej. Pierwszy ma charakter polityczny; prezesem Sądu Okręgowego w Warszawie, do którego trafia większość spraw o charakterze politycznym w państwie PiS jest od 2020 roku **Piotr Schab**, jeden z sędziów [lojalnych](#) wobec Ministerstwa Sprawiedliwości i jego aktualnej polityki. Drugi – psychologiczny: orzekanie pod naciskiem służb specjalnych, w trybie wydawanego w składzie jednoosobowym postanowienia to naturalna, dodatkowa presja na sędziego, szczególnie w systemie autorytarnym. Trzeci to aberracja prawna: w myśl obowiązujących przepisów wydawca zablokowanej strony internetowej nie jest nawet o blokadzie informowany, wszystko ma charakter ściśle tajny, a on sam pozbawiony jest możliwości zaprezentowania swoich argumentów podczas posiedzeń sądu w jego przeciw sprawie. Ścieżką odwoławczą dysponuje zaś wyłącznie ABW i prokuratura, na wypadek, gdyby któryś z sędziów jednak zdecydował się wydać postanowienie wbrew polityczno-bezpieczniackim sugestiom.

Wszystkie przytoczone wyżej przepisy powodują, że prawa konstytucyjne obywateli i podmiotów podlegających cenzurze przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Chodzi tu przede wszystkim o art. 45 ustawy zasadniczej gwarantujący każdemu

prawo do sądu oraz art. 77 ust. 2, który stanowi, że „ustawa nie może nikomu zamykać drogi sądowej dochodzenia naruszonych wolności i praw”. Jak się okazuje, jeśli polityczne kierownictwo służb bezpieczeństwa uzna, że ktoś stanowi zagrożenie dla państwa (a dokładniej – dla linii partii rządzącej i rządu), konstytucyjnymi gwarancjami cieszyć się nie może. A o wszystkim zadecyduje funkcjonariusz bezpieki z Rakowieckiej, nadgorliwy z własnej inicjatywy, bądź wykonujący polityczne dyspozycje swego partyjnego patrona.

Nie zmienia to faktu, że w Polsce również dobrze wszystko odbywać może się „bez żadnego trybu”, jak mawiał z trybuny sejmowej prezes rządzącego ugrupowania. Nie wiemy jak było w przypadku aktualnych działań cenzorskich. Być może nie zwracano sobie głowy spełnianiem jakichkolwiek wymogów formalnych.

Kwestia politycznej celowości

Zarówno portal „Myśli Polskiej”, jak i inne, które podlegały w ostatnim okresie działaniom cenzorskim, *notabene* wprost zakazanym przez wspomnianą Konstytucję, nie stanowiły i nie stanowią głównego nurtu w polskiej przestrzeni informacyjnej. Są raczej głosami intelektualnych dysydentów, na dodatek nie mających żadnych aspiracji partyjno-wyborczych, czyli bezpośrednio nie zagrażających istniejącemu systemowi.

Pojawia się wobec tego pytanie, bardzo trudne, jak się przekonamy, o rzeczywiste motywacje stosowania działań cenzorskich przez bezpiekę i organy władzy. Skoro krytyczna myśl nie stanowi na obecnym etapie żadnego politycznego zagrożenia dla klasy politycznej, po co zaprzętać sobie głowę jej blokowaniem, które – chcąc nie chcąc – prowadzi wyłącznie do wzrostu zainteresowania czytelników niezależnymi mediami?

Odpowiedzi na to pytanie może być kilka, przy czym żadna z nich nie napawa optymizmem. Znając poziom intelektualny i etyczny bezpieki, uznać możemy, że to samowolne,

nieskoordynowane inicjatywy jej co mniej lotnych funkcjonariuszy. W takim przypadku można przyjąć, że jakaś grupa przy ulicy Rakowieckiej z braku lepszych zajęć i z chęci przypodobania się swoim politycznym mocodawcom zdecydowała się na ruchy całkowicie sprzeczne z logiką, ale dające się sprzedać zwierzchnikom jako „skuteczna” walka z tzw. dezinformacją (w rzeczywistości z krytycznymi opiniami) czy obcą rządzącym narracją, szczególnie w sprawach polityki zagranicznej. Jeśli tak istotnie jest, byłoby to kolejnym świadectwem kompletnej nieudolności polskich służb specjalnych, które zamiast zajmować się niewątpliwie istniejącymi poważnymi zagrożeniami dla bezpieczeństwa państwa, umilają sobie czas polowaniem na „nieprawomyślność” w Internecie.

Druga opcja jest jeszcze bardziej przygnębiająca od pierwszej. Zakłada bowiem, że polityczne kierownictwo obecnych służb cierpi nie tylko z powodu poważnych deficytów intelektualnych, lecz także za przyczyną różnego rodzaju fobii, uniemożliwiających jakikolwiek trzeźwy osąd sytuacji. W tym przypadku założyć możemy, że jakiś niewydarzony polityk składa donos (specjalność Polaków w ostatnich latach) w sprawie rzekomego zagrożenia bezpieczeństwa przez obecne w Internecie, „wywrotowe” w jego przekonaniu treści, bezpieczeństwa posłusznie wykonuje otrzymane instrukcje. I nawet, gdyby uważała je za głupie i nieracjonalne, nie odważy się im sprzeciwić. Wszak los jej funkcjonariuszy, biorąc pod uwagę fale kolejnych weryfikacji i czystek, wisi każdego dnia na włosku.

Trzecia teoria bazuje na stwierdzeniu całkowitego braku suwerenności władz polskich. Zakładać trzeba wtedy, że instrukcje dotyczące wprowadzenia mechanizmów cenzury przychodzą z zewnątrz. Albo od rezydenta służb amerykańskich ukrytego wśród personelu dyplomatycznego Stanów Zjednoczonych lub Wielkiej Brytanii w Warszawie, albo – to jeszcze prostsze wyjaśnienie – od oficerów Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, wielokrotnie już kierujących *de facto* działalnością polskich służb specjalnych, choćby w słynnej sprawie **Sławomira Nowaka**.

Centrala decyzyjna znajdowałaby się przy takim założeniu nie w stolicy Polski, lecz w Waszyngtonie, Londynie czy nawet Kijowie. Straszne? Owszem. Nieprawdopodobne? Nie do końca.

Jest jeszcze wyjaśnienie z gatunku tych bardziej optymistycznych. Być może tęgie analityczne głowy w polskich kręgach władzy doszły do wniosku, z pomocą innych tęgich głów z zagranicy, że za jakiś czas dojdzie do przewartościowania poglądów społeczeństwa na wiele spraw, w tym dotyczących polityki wschodniej. Być może uznano, że przewartościowania te doprowadzą do wzrostu potencjału informacyjnego mediów opozycyjnych, konsekwentnie krytycznych. A potencjał ten z kolei może przynieść przetasowania na scenie partyjnej w przyszłości, będąc tym samym śmiertelnym zagrożeniem dla obecnej klasy politycznej i jej zewnętrznych patronów. Postanowiono w tej sytuacji działać prewencyjnie, zdusić w zarodku tendencje do racjonalnego myślenia, zanim rozleją się one szerzej w społeczeństwie. Jedynym minusem przyjęcia takiego scenariusza byłby fakt, że my sami nie potrafimy docenić drzemiącego w naszych Czytelnikach i środowiskach potencjału.

Może być tak (najczęściej tak w rzeczywistości społecznej właśnie bywa), że w każdej z powyższych prób wyjaśnienia ostatnich wydarzeń, jest jakieś ziarno prawdy. A z drugiej strony, być może jednak wszystkie one są fałszywe, a rzeczywistość jest dużo straszniejsza niż nam się wydaje. Czas pokaże.

Informacyjne podłoże dla anty-Rosji

Pobieżny przegląd stron internetowych w języku rosyjskim, nie tylko tych rządowych i powiązanych z Moskwą, pokazuje, że cenzura w Polsce objęła również cały szereg mediów rosyjskojęzycznych. Są wśród nich także media prywatne, a nawet te znajdujące się w ostrożnej opozycji wobec władz rosyjskich. Z jakich przyczyn uznano je za równie

niebezpieczne, co portal „Myśli Polskiej”?

Musi to naprawdę zastanawiać, i to głęboko. Według [badań](#) z 2015 roku (TNS Polska), językiem rosyjskim włada biegle 3% Polaków. Rzeczywisty odsetek może być jeszcze mniejszy; po pierwsze, w wyniku tendencji do zawyżania swoich kompetencji w ankietach; po drugie – od wspomnianego badania minęło siedem lat, a trendy językowe i demograficzne w tym czasie działały raczej na niekorzyść najważniejszego z języków wschodniosłowiańskich.

Strony rosyjskich mediów publicznych zablokowane zostały w wyniku skoordynowanej akcji cenzorskiej całego tzw. Zachodu (za wyjątkiem, co ciekawe, Stanów Zjednoczonych). Pozostałe portale zostały wszakże zablokowane z inicjatywy polskiej. Nietrudno to sprawdzić. Wystarczy zastosować aplikację VPN, by przekonać się, że są one dostępne z terytoriów większości krajów Unii Europejskiej. W naszym kraju niemal wszystkie zostały ocenzurowane.

Ich czytelnikami nie byli z pewnością nie znający języka rosyjskiego Polacy. Nawet, jeśli uznamy, że 2-3% z nich ma odpowiednie umiejętności językowe, można chyba założyć, że nie spędzałoby to snu z powiek polskiej klasy politycznej. Dlatego coraz bardziej uprawniona staje się teza, że cenzura mediów rosyjskojęzycznych stosowana jest nie z uwagi na ich potencjalnie „wywrotowy” wpływ na obywateli polskich, a raczej po to, by nie sięgała po nie kilkumilionowa rzesza żyjących dziś w Polsce Ukraińców, z reguły rosyjskojęzycznych lub co najmniej dwujęzycznych.

Może to być planowe pozbawienie ich dostępu do przestrzeni informacyjnej alternatywnej i równoległej wobec tej, która kreowana jest przez media ukraińskie i w niemałym stopniu również polskie (w ich ukraińskojęzycznych edycjach). Po co? Przy założeniu, wcale nie tak nieprawdopodobnym, że w wyniku wojny na Ukrainie osiągnięte zostaną przynajmniej częściowo cele polityczne i ideologiczne zadeklarowane na wstępie przez

Moskwę, anty-Rosja, którą był w ostatnich latach koordynowany przez tzw. Zachód projekt ukraiński przemieści się na nasze terytorium. Przesunięcie ludności ukraińskiej (migrantów, uchodźców) może mieć, jak twierdzi choćby **Grzegorz Braun**, charakter planowego przemieszczenia ludności, swoistej operacji narodowościowej i demograficznej. W takim wypadku odpowiednie służby czuwać muszą i już to robią, by Ukraińcy osiedlający się w Polsce nie ulegali wpływow przekazów alternatywnych, krytycznych wobec projektu anty-Rosja, który przecież mają tym razem na naszym terytorium współtworzyć. Nawet wyrywkowe rozmowy z wieloma z nich pokazują, że poziom ich zainteresowania polityką jest obecnie nikły. Owszem, sięgają po media rosyjskie, lecz raczej poszukują tam materiałów nie związanych z wojną czy geopolityką. Trzeba ich zatem ukształtować, by mogli odegrać swą rolę. I usunąć wszystkie przeszkody na drodze do formowania ich umysłów. Bez ukraińskich budowniczych trudno bowiem będzie o skonstruowanie i legitymizację anty-Rosji w Polsce.

Kwestia szacunku

Filozofia współczesnej cenzury polega na starym jak świat, pesymistycznym oglądzie natury ludzkiej. Choć może nie warto bawić się tu w eufemizmy: zwulgaryzowane współczesne ujęcie, tradycyjnego niegdyś dla konserwatystów, założenia o ułomności poznawczej i intelektualnej człowieka zakłada, że wszyscy jesteśmy kretynami, wdzięcznymi obiektami cudzych manipulacji, niezdolnymi do krytycznego myślenia troglodytami. Poddawani jesteśmy zatem procesowi infantylizacji. Dzieciom zabrania się przecież korzystania z niektórych przyjemności w imię ich własnego dobra. Podobnie nam próbuje zakazywać się sięgania po te opinie, informacje czy oceny, które nie wykazują zbieżności z narracją klasy politycznej.

Filozofia ta zakłada całkowity brak szacunku dla każdego obywatela. Jest też niebezpiecznym precedensem, bo skoro dziś zabrania nam się czytać i oglądać te treści, które sami

wybieramy, jutro ktoś może uznać, że w imię bezpieczeństwa państwa trzeba pozbawić nas prawa głosowania w wyborach. Chronić nas przed samymi sobą i ryzykami wolności, odmówić nam prawa do krytycznej oceny rzeczywistości, a na koniec zamknąć w barakach neoliberalno-atlantyckiego obozu koncentracyjnego. Obozu, w którym wprowadzie będzie telewizor i Internet, lecz zakres dostępnych przekazów wahać będzie się między w zasadzie jednolitą treścią przekazu TVP i TVN, „Gazety Polskiej” i „Newsweeka. Polska”.

Dlatego dziś to VPN i inne proponowane przez informatyków rozwiązania pozwolą nam uniknąć zamknięcia za zasiekami informacyjnej blokady. To ważne, tym bardziej, że myślenie i krytycyzm są w czasach tak trudnych, jak obecne, czymś wręcz niezastąpionym.

Mateusz Piskorski

Jak radny PiS przejrzał na oczy



Unia polsko-ukraińska, wprowadzanie 3 mln obywateli obcego państwa do polskiego systemu edukacji, zdrowia, nadawanie im PESELI, czyli de facto pełnoprawnych uprawnień jakie mają Polacy, przyznawanie im świadczeń zwalniając jednocześnie z płacenia wszelkich podatków, różnych opłat przy jednoczesnym

gigantycznym już zadłużeniu państwa, galopujących cenach, inflacji i fatalnych rokowaniach dla wszystkich na przyszłość.

Nie może być tak, że Polacy będący obywatelami tego kraju, płacący tu podatki, którzy są suwerenem na tej ziemi będą traktowani jak obywatele II kategorii, dodatkowo utrzymując rzesze ludzi, których chce się wpompować do naszego społeczeństwa. A jednocześnie Unia Europejska, która jeszcze nie tak dawno krzyczała jacy to my jesteśmy źli, bo nie chcemy przyjmować uchodźców na pontonach dziś nie chce dać złamanego grosza na pomoc dla nich [dla przypomnienia: Turcja, która zobowiązała się zatrzymać na swoim terytorium około 300 tys. uchodźców otrzymała od Unii 8 mld Euro pomocy!!! Polska? ZERO]

Dwa lata temu PiS przyłączył się do chóru entuzjastów pandemii i rozpoczął w zмовie z większością krajów europejskich zaplanowaną akcję zniewalania ludzi. Pod pozorem walki z wirusem, stosując strach łamano prawo, łącznie z Konstytucją, niszczone przedsiębiorców, a milicja urządzała polowania na ludzi, którzy nie ulegli tej psychozie i nie dali się zniewolić.

Liczyłem na to, że przyjdzie w mojej partii opamiętanie. Niestety, mimo długiego wyczekiwania niczego takiego się nie doczekałem.

Covid zakończono praktycznie z dnia na dzień – o dziwo, bez żadnych większych refleksji ze strony społeczeństwa. Teraz do czynienia mamy z kolejnym straszakiem – wojną na Ukrainie. Zawiodłem się ponownie na działaniach mojej partii.

Tak jak podkreślałem trzeba pomagać każdemu kto takiej pomocy potrzebuje ale trzeba to robić z głową, jakimś planem, przede wszystkim dbając o interesy własnego kraju i własnych obywateli.

Jako Polak wyrażam swój zdecydowany sprzeciw na takie działania, popierane zresztą też przez większość innych formacji politycznych obecnych też i w szeregach radnych.

Niesienie pomocy nie może odbywać się kosztem destrukcji własnego społeczeństwa, zadłużania go na kilka pokoleń do przodu, decyzji, które podejmowane są bez żadnych społecznych konsultacji.

W związku z tym, iż stanowczo nie zgadzam się z tym co się dzieje, a dodatkowo dostrzegam niebezpieczne działania narażające nas na wciągnięcie Polski w wojnę z sowietami informuję, iż opuszczam szeregi PiS.

Tej decyzji nie podjąłem łatwo, gdyż byłem w Pabianicach jedną z osób, która zakładała Porozumienia Centrum w 1990 roku. Współtworzyłem też w 2002 r. Prawo i Sprawiedliwość. Przez te wszystkie lata popierałem wprowadzane zmiany, choć nigdy nie jest tak, że człowiek zgadza się zawsze w 100% z decyzjami liderów ale nie dotyczy to tylko PiS-u.

To nie ja zdradziłem dotychczasowe zasady i ideały PiS tylko to PiS zrobił to sam. Nie wiem czy Polaków stać na społeczne otrzeźwienie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli kolejny raz w naszej historii przerabiać lekcji, które dawno powinny być odrobione.

Na koniec chciałbym dobitnie podkreślić w erze przyklejania łątek ludziom nie zgadzającym się z oficjalną propagandą: nigdy nie popierałem i nie popieram sowieckiej Rosji, a jako Polak wbrew poprawności politycznej NIGDY też nie poprę ukraińskiego nacjonalizmu. Nie czuję się też sługą narodu ukraińskiego ani sługą kogokolwiek innego”

Z wyrazami szacunku,

Marcin Wolski

Radny Rady Powiatu Pabianickiego ale przede wszystkim Polak i patriota

za portalem: www.zyciepabianic.pl

1. Oświadczenie Marcina Wolskiego (nie mylić z Marcinem

Wolskim, kiedyś satyrykiem, obecnie propagandystą PiS) budzi skromną nadzieję, że ludzi rozsądnych jest więcej. Niezależnie od tego, że opuszczenie szeregów PiS przez radnego ma bardzo niewielkie znaczenie w skali Polski, pokazuje jednak, że tacy ludzie jednak są, a wymieniony Marcin Wolski jest ponadto na tyle odważny, aby to publicznie oświadczyć. Koalicja zdrowego rozsądku nie może dziś pozwolić sobie na komfort czystości ideowej. Kiedy rozsądek jest na wagę złota, każdy człowiek rozsądny stanowi ogromną wartość.

Możemy nie zgadzać się w tym albo owym, ale trudno nie uznać odwagi M. Wolskiego wobec braku odwagi tysięcy jego kolegów organizacyjnych, nie mówiąc już o tłumie oportunistów i ludzi zwyczajnie bezmyślnych. Pamiętam kol. Wolskiego z czasów mojej LPR-owskiej kadencji w radzie m. Pabianic (2002-2006). Był on wtedy człowiekiem drugiej linii PiS. Wrażenie jakie miałem wówczas odnośnie jego osoby, to po pierwsze, głębokie zaangażowanie w partię, po drugie, czego on być może wtedy nie był świadom, wykorzystywanie go przez jego „cwańszych” kolegów. Już wtedy Wolski wykazywał się wiedzą i zrozumieniem problemu ukraińskiego. O ile mnie pamięć nie myli, był obecny na wystawie poświęconej pamięci ofiar OUN/UPA, którą organizowaliśmy w pabianickim MOK z śp. Janem Młotkowskim, także na bardzo liczny spotkaniu z dr Lucyną Kulińską, wreszcie uczestniczył również w odsłonięciu tablicy pamiątkowej Kresowian na ścianie kaplicy cmentarza katolickiego, która poświęcił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Najwyraźniej, po latach wspierania pozycji PiS, Marcin Wolski doszedł od przekonania, że dalsze mydlenie oczu w tej sprawie prowadzi do nikąd.

Być może słowa p. Jasiny, rzecznika MSZ o Polsce, jako o słudze narodu ukraińskiego, stały się momentem przełomowym. Spostrzeżenia M. Wolskiego są słuszne. Także odnośnie braku refleksji wśród Polaków i tragedii powielania tych samych błędów. Trzeba wyjść z amoku, otrzeźwieć. To pierwszy krok ku

normalności. Ale to nie wszystko. Jeżeli jako jednostki będziemy siedzieć cicho i utwierdzać się w swojej prywatnej racji, szaleństwo wokół nas zatriumfuje. Dlatego ludzie odważni nie tylko powinni, ale muszą edukować innych i próbować wrywać ich z amoku. Tylko wiedza buduje, niewiedza zaś – rujnuje.

[Adam Śmiech](#)

Prokuratura umorzyła śledztwo ws. brutalnej akcji policji po Marszu Niepodległości w 2020 roku



Prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień przez policjantów podczas interwencji na stacji Warszawa-Stadion, do której doszło po Marszu Niepodległości 11 listopada 2020 roku. Policjanci bili pałkami przypadkowe osoby, psikali gazem i rzucali granaty hukowe. Urządzili też tzw. ścieżkę zdrowia na schodach oraz atakowali dziennikarzy.

Powodem umorzenia śledztwa jest „niewykrycie sprawców przestępstw opisanych w kodeksie karnym jako przekroczenie uprawnień oraz naruszenie nietykalności”. Funkcjonariusze byli w kaskach i maseczkach, a także nie mieli identyfikatorów na

mundurach. – Żadna z kilkudziesięciu przesłuchanych osób nie przyznała się do udziału w zajściach, ani nie wskazała na konkretnych kolegów – informuje reporter RMF FM Krzysztof Zasada. Podwładnych kryli też przełożeni, których przesłuchano.

Śledztwo zostało wszczęte w marcu 2021 roku po przeprowadzeniu postępowania sprawdzającego zainicjowanego przez Prokuraturę Rejonową Warszawa-Praga Południe. Materiały w celu oceny prawno-karnej przesłała Komenda Stołeczna Policji. W dokumentacji znalazły się m.in. opis podjętych czynności, wnioski funkcjonariuszy, monitoring oraz nagrania, które były publikowane w Internecie.

Ukraiński „przyjaciel” starszy, żąda i grozi Polsce sądem



Z informacji, jakie ujawnione zostały przez Dziennik „Rzeczpospolita” wynika, że Ukraina uważana przez pisowski rząd za „przyjaciela”, na którego punkcie rząd oszalał, domaga się od Polski 200 tys. zezwoleń na międzynarodowe przewozy ciężarowe. Ostrzegając jednocześnie, że jeśli żądanie to nie zostanie spełnione, to może nas czekać spór sądowy.

Ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczyca podkreślił w

rozmowie z ukraińską agencją Ukrinform, że jego kraj jest zdeterminowany, aby bronić interesów swoich przewoźników i chce przywrócenia liczby zezwoleń do poziomu, jaki miała Ukraina przed wejściem w życie umowy o wolnym handlu między Ukrainą a UE.

Dyplomata zaznaczył, że Ukraina chce „zaangażować wszystkie istniejące mechanizmy prawne w rozwiązanie konfliktu”. – *Spory sądowe nie są katastrofą, ponieważ takie przypadki nie są rzadkością między krajami europejskimi* – powiedział Deszczyca. – *Postaramy się znaleźć kompromis w warunkach, w których istnieje już poważna konkurencja między ukraińskimi i polskimi przewoźnikami* – dodał.

W 2016 roku Ukraina otrzymała 200 tys. zezwoleń na międzynarodowe przewozy ciężarowe, a od 2018 roku Polska zmniejszyła ich liczbę do 160 tys., co według ambasadora „krępuje ukraińską wymianę handlową i ogranicza wzrost gospodarki kraju”. Polska warunkuje zgodę poprawą przepustowości przejść granicznych. Obecnie odprawa jest nieefektywna i ciężarówki tracą czas w długich kolejkach.

Jak widać podziękowanie za udzieloną przez PiS-owski rząd przesadną pomoc „gościom” z Ukrainy już płynie.

Skandal: polski urzędnik w egzotycznym towarzystwie na Ukrainie



Konflikt na Ukrainie doprowadził do niespotykanego do tej pory wzrostu aktywności grup agresywnych i ekstremistycznych, także w Polsce. Krajowi wielbiciiele rasistowskiego ekstremizmu epatującego symboliką nazistowską ruchu azowskiego, którego uzbrojone niedobitki likwidowane są przez wojska rosyjskie, nie obawiają się w sposób otwarty eksponować poparcia dla swoich ukraińskich przyjaciół. Niestety, dotarliśmy do informacji, że ekstremistom nawołującym do ludobójstwa towarzyszą tam również ...urzędnicy publiczni.

Poľscy fani Waffen-SS i Azowa

Jeden z naszych oburzonych informatorów mający dostęp do mediów społecznościowych polskich, rasistowskich, faszyzujących ekstremistów z grupy tzw. szturmowców, przekazał nam niedawno zdjęcia z wycieczki pseudonacjonalistów na Ukrainę. Na zdjęciach tych widać niejakiego **Witolda Dobrowolskiego**, publicystę „miesięcznika narodowo-radykalnego” „Szturm”. *„Rozbawieni czerwonoarmiści mijają ułożone specjalnie pod kronikę filmową ciała obrońców Reichstagu. Stolicy narodowo-socjalistycznego snu przed czerwoną nawałą bronili antykomunistyczni przedstawiciele niemal każdej narodowości”* – [pisał](#) o zwycięstwie nad III Rzeszą z 1945 roku w jednym z artykułów. W innym miejscu na tych samych łamach [zachwycał się](#) żołnierzami francuskiej dywizji Waffen-SS „Charlemagne”, twierdząc, że byli oni prawdziwymi „rycerzami”.



Pierwszy z lewej: W. Dobrowolski na marszu tzw. szturmowców



W. Dobrowolski

W 2020 roku zatrzymany został przez białoruskie organy i wydany z tego kraju. Przed kamerami TVP paradował z podbitym okiem, które miało świadczyć o okrutnych metodach służb

bezpieczeństwa w Mińsku. Według władz białoruskich, grupa polskich radykałów starała się wówczas wywoływać zamieszki i prowokować do agresji demonstrantów, którzy wylegli na ulice po sierpniowych wyborach prezydenckich. Planowana kolorowa rewolucja się nie udała. Nie pomógł propagandowy Biełsat i jego kanał Nexta w Telegramie, nie pomógł Dobrowolski i jemu podobni.



W. Dobrowolski (z lewej) promowany przez rządowe media po wydaleniu z Białorusi w 2020 roku.

Na fotografiach polskich ekstremistów zrobionych na Ukrainie widzimy też innego „szturmowca”, niejakiego **Miłosza Jezierskiego**. Dawny działacz Młodzieży Wszechpolskiej, Polak mieszkający w Szwecji, gdzie – jak informują osoby go znające – współpracował i brał udział w demonstracjach neonazistowskiego Nordyckiego Ruchu Oporu (NMR). Na zdjęciach z Ukrainy pozuje, zadowolony, że ktoś dał mu do potrzymania popularnego „kałasznikowa”.



Witold Dobrowolski jest w miejscowości **Kijów** z **Олена Олександрівна** i 2 innymi użytkownikami.

1 godz. • Kijów • 👤



Dzisiaj dotarliśmy z zebraną pomocą do chłopaków walczących na froncie, w tym oddziałów służących w ramach obrony terytorialnej „Azow”. Wkrótce reszta potrzebnych rzeczy trafi również do formacji funkcjonujących w ramach Sił Zbrojnych Ukrainy. Podziękowania dla wszystkich zaangażowanych od obrońców Europy przed Moskalami.

Слава Україні! Сława Polsce!



Wpis W. Dobrowolskiego z wyjazdu do „Azowa” na Ukrainę.



KOKOSZ86
Użhorod



172 polubienia

kokosz86 Slavize your vacations. #ukraine
#nationalism #training #rifle #ontour... więcej

Zobacz wszystkie komentarze: 6

14 kwietnia 2019 • Zobacz tłumaczenie



M. Jezierski pozuje z automatem na tle symboli popularnych w ruchu neonazistowskim.

W towarzystwie ukraińskiej wielbicielki nazizmu

Polscy sympatycy rasistowskich band z Ukrainy nie ukrywali, że organizują pomoc i wsparcie dla pułku „Azow”. Wśród ich gospodarzy widocznych na zdjęciach znalazła się m.in. **Jelena Siemieniaka**, odpowiedzialna w skrajnie prawicowym Korpusie Narodowym oraz w ruchu azowskim za kontakty zagraniczne. Stało się o niej głośno, gdy uzyskała stypendium w wiedeńskim Instytucie Nauk o Człowieku. Wkrótce, gdy wyszły na jaw jej otwarcie nazistowskie fascynacje, instytut [cofnął](#) stypendium ustalone na 1800 euro miesięcznie, a działaczka „Azowa” zmuszona została do powrotu na Ukrainę.



J. Siemieniaka pozuje wraz z koleżankami z flagą ze swastyką.

Urzędnik w otoczeniu środowiska bandytów?

Wśród polskich faszyzujących ekstremistów znalazł się na Ukrainie również polski urzędnik. Na fotografiach w mediach społecznościowych swoją obecność obok Dobrowolskiego i reszty zaznacza [Damian Duda](#), na co dzień szef Wydziału Polityki Informacyjnej Rządowego Centrum Bezpieczeństwa, jednostki podległej Prezesowi Rady Ministrów, odpowiedzialnej za kwestie bezpieczeństwa i reagowania w sytuacjach nadzwyczajnych oraz

kryzysowych.



Pierwszy z lewej – „szturmowiec” M. Jezierski, trzeci – D. Duda, obok – W. Dobrowolski. J. Siemieniaka.

Podsumujmy: w wyjeździe do ukraińskich rasistowskich ekstremistów z ruchu azowskiego, wraz z polskimi pseudonacjonalistami ze środowiska faszyzującego „Szturmu” udział bierze czynny urzędnik państwowy. Nie wiemy czy robi to w ramach urlopu (wówczas to, formalnie rzecz biorąc, wyłącznie jego sprawa), czy też w dniach, w których pełnić powinien obowiązki służbowe. Jednocześnie bojówki z tego samego środowiska napadają na ludzi nie podzielających ich poglądów w Polsce, m.in. **Krystiana Jachacego** (Praca Polska), **Kamila Klimczaka** (Klub im. Romana Dmowskiego), uczestników spotkania Klubu Myśli Polskiej w Łodzi. Odwołując się do opacznie rozumianego nacjonalizmu, próbują terroryzować tych, którzy nie podzielają ich absurdalnej wizji świata. Na razie w kraju atakują uzbrojeni w pałki, kastety i noże. Wkrótce mogą jednak sięgnąć po drastyczniejsze metody. W końcu ich ukraińskich idoli z „Azowa” oskarżano wielokrotnie o stosowanie tortur, zabójstwa i zbrodnie wojenne.

Prorok Zełenski i ukraiński amok prezydenta Dudy



Historia jest nieważna, a granica między Polską i Ukrainą ma zniknąć. Takimi rewelacjami uraczył nas prezydent Andrzej Duda podczas przemówienia wygłoszonego z okazji 231 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Dziękując Polakom za przyjęcie uchodźców z Ukrainy do swoich domów prezydent Duda powiedział tak: *Stało się coś, o czym powiedział ostatnio prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, dosłownie kilka dni temu: „Wobec tego, co zrobili Polacy, cała historia jest nieważna”. W jakimś sensie można powiedzieć, że tak – że w całym ogromie tej historii, przecież w ostatnich stuleciach tak trudnej, gdzie na wspólnym stole między Polakami a Ukraińcami tak często leżał karabin, tak często leżał topór, broń – został położony chleb. Chleb! Została położona dłoń na dłoni. Dziękuję Wam za to. Jest to akt, który – wierzę w to głęboko – buduje całkowicie nową drogę w naszych dziejach, w dziejach naszych obojga narodów.*

A teraz fragment dotyczący granicy polsko-ukraińskiej: *Wierzę w to głęboko, że damy radę. Że tak jak umieliśmy przyjąć naszych sąsiadów, tak będziemy umieli ich przechować, by – gdy wojna się zakończy – mogli wrócić do swoich domów, a my pomóc im w dziele odbudowy Ukrainy: wolnej, suwerennej, niepodległej. Ukrainy, która – mam nadzieję – będzie na*

dziesięciolecia, a daj Boże i na stulecia, państwem bratnim dla Rzeczypospolitej, pomiędzy którym a nami, Polską – jak, mam nadzieję, proroczo powiedział Prezydent Wołodymyr Zełenski – nie będzie granicy; że tej granicy faktycznie nie będzie; że będziemy żyli razem na tej ziemi, odbudowując się i budując swoje wspólne szczęście i wspólną siłę, która pozwoli się oprzeć każdemu niebezpieczeństwu, a którą każdy będzie się bał w przyszłości zaatakować i będzie się bał jej zagrozić.

Prezydent Duda ewidentnie wzruszył się roztoczoną przez siebie wizją zgodnej współpracy bratnich narodów, których nic nie dzieli, a wszystko łączy. Wizja ta wyrosła ze słów prezydenta Zełenskiego, które tak spodobały się prezydentowi Dudzie, że uznał je za prorocze. I w ramach wypełniania tego proroctwa ogłosił: *Wierzę w to głęboko, że jesteśmy w stanie budować tutaj, w naszej części Europy, wielką wspólnotę narodów – taką, o jakiej mocy uczy nas nasza historia. Niech żyją narody dawnej Rzeczypospolitej! Niech Pan Bóg ma je wszystkie w swojej opiece, niech im przynosi szczęście i powodzenie!* Całe przemówienie [TUTAJ](#).

A teraz zejźmy z tych obłoków, na które wspiął się prezydent Duda, i przejdźmy do realiów. Najpierw zajmijmy się pomysłem unieważniania historii. Od razu pojawia się pytanie: co autor miał na myśli? Czy to, że skoro Polacy przyjęli uchodźców z Ukrainy, to ukraińskie ludobójstwo na Polakach jest nieważne? Ludobójstwo, do którego Ukraińcy nie tylko się nie przyznają, ale którego wykonawców stawiają na piedestale. Czyli co? Banderyzm jest już OK? Pomniki zbrodniarzy też już są OK? I gloryfikacja UPA jest OK?

Jeśli historia jest nieważna, to po co kilka dni wcześniej prezydent Duda wziął udział w żydowskim Marszu Żywych w Auschwitz? A powiedział tam, że „spotykamy się, aby dać świadectwo pamięci o zagładzie narodu żydowskiego”. Wychodzi na to, że świadectwo pamięci o ludobójstwie na Żydach jest ważne, ale świadectwo pamięci o ludobójstwie na Polakach jest nieważne. I taka teza pada z usta prezydenta RP nawiązującego

do „proroczych” słów prezydenta Ukrainy. Czy prezydentowi Dudzie nie pomyliły się priorytety?

Przejdźmy teraz do „proroctwa” o zniesieniu granicy pomiędzy „bratnimi krajami” i budowaniu „wspólnego szczęścia”. Podczas przemówienia w polskim parlamencie prezydent Zełenski pomachał wizją odbudowy I Rzeczypospolitej. Oczywistą oczywistością dla każdego trzeźwo myślącego człowieka jest to, że „prorok” Zełenski zagrał pod polską publiczkę, aby uzyskać jak największe wsparcie dla Ukrainy napadniętej przez Rosję. Ale o żadnym powrocie do czasów I Rzeczypospolitej nie ma co marzyć. Mówiąc brutalnie: nie po to Ukraińcy przeprowadzili barbarzyńską czystkę etniczną na Polakach, żeby teraz realizować jakieś mrzonki o wspólnym państwie. To powinno być jasne i zrozumiałe dla każdego. Ale nie jest. Najpierw Kosiniak-Kamysz z Gowinem i Gdulą bredzą o tworzeniu Unii Polsko-Ukraińskiej, a teraz prezydent Duda wyskakuje z tekstem o „życiu razem na tej ziemi” i o „wspólnocie narodów, o jakiej mocy uczy nas nasza historia”.

Nasza historia uczy nas, że eksperyment o nazwie „wspólnota narodów” zakończył się klęską i rzezią na Polakach. No, ale skoro historia jest nieważna, to hulaj dusza, piekła nie ma. Prezydent Duda sam sobie przeczy i buduje zamki na piasku. Jeszcze niedawno opowiadał androny o polsko-żydowskiej Rzeczypospolitej Przyjaciół, a okazało się, że ta „przyjaźń” ma polegać na tym, iż Polacy mają przeproszać Żydów za niepopełnione zbrodnie i płacić za urojone roszczenia. Przebudzenie z żydowskiego amoku było bolesne. I tak samo bolesne będzie przebudzenie z obecnego, ukraińskiego amoku, w imię którego prezydent Duda opowiada o unieważnianiu historii, bratnim państwie i budowaniu wspólnego szczęścia.

Czy to się komuś podoba, czy nie, czasy I Rzeczypospolitej minęły i już nie wrócą. Polska ma swoje interesy, a Ukraina swoje. I nie są one tożsame. Owszem, zarówno w interesie Polski jak i Ukrainy leży to, żeby Rosja była słaba i niezdolna do narzucania swojej woli krajom Europy Środkowo-

Wschodniej. Ale czy w polskim interesie leży silna Ukraina? A czy w interesie Ukrainy leży silna Polska? To są pytania, którymi nasza klasa polityczna w ogóle nie zaprzęta sobie głowy, ponieważ jest zajęta budowaniem utopijnych wizji i skakaniem sobie do gardeł. I tak to się kręci – od amoku do amoku. Apele o racjonalne działanie są głosem wołającego na puszczy. Obecnie polscy politycy wsłuchują się w „proroctwa” prezydenta Zełenskiego.

[Katarzyna Treter-Sierpińska](#)